

Antoni Kroh

Co pozostało z kresów

Pojęcie „kresy” weszło do języka polskiego stosunkowo niedawno, zaledwie półtora stulecia temu. Wprowadził je w poemacie *Mohort* (1854) Wincenty Pol, poeta wówczas ogromnie popularny, zwany czwartym wieszczem. Tytułowy bohater, „całe życie zbrojny, jako lew dzielny, jak posąg spokojny”, wzór cnót rycerskich, walczył w obronie południowo-wschodnich rubieży Rzeczypospolitej. Nie był więc postacią osadzoną w ówczesnych realiach, lecz duchem przeszłości, ucieleśnieniem bohaterskiej legendy. Już wówczas.

Słowo „kresy” w ciągu stu pięćdziesięciu lat zmieniało znaczenie, ale niemal zawsze odwoływało się bardziej do nostalgii niż do empirii. Kresy w sensie geograficznym to najpierw okolice Kamieńca Podolskiego. Potem wschodnie rubieże Polski w granicach przedrozbiorowych, od środkowego Dniepru po Inflanty. Na przełomie XIX i XX wieku, w latach sporu o północny Spisz, Orawę, Czadeckie i Zaolzie, zaczęto używać terminu „kresy południowe”. Próbowano również wprowadzić do obiegu „kresy zachodnie”. Lecz niewiele z tego wyszło – „kresy” kojarzą się przede wszystkim ze wschodem. Rzecz charakterystyczna: *Pieśń o ziemi naszej*, podręcznik polskiej geografii serdecznej kilku pokoleń, nie wspomina o Śląsku, Wielkopolsce ani Pomorzu.

„*Mohort*, obok *Pieśni o ziemi naszej*, stał się najpopularniejszym na długie lata utworem Pola. Nie ma najmniejszej przesady w twierdzeniu, że mniej więcej aż po rok 1922 oba te dzieła wywierały ogromny i bardzo szeroki wpływ na wy-

obrażenia o przestrzennym kształcie mającej się odrodzić Rzeczypospolitej”¹. Jak wiadomo, w ciągu XIX wieku krzepła świadomość narodowa i państwowa Ukraińców, Białorusinów i Litwinów. Im bardziej ów proces postępował, tym pojęcie kresów stawało się coraz bardziej nostalgiczne, a w sensie geograficznym przesunęło się na zachód. Obecnie używa się niekiedy tego terminu na oznaczenie lewego brzegu Bugu lub Suwalszczyzny – okolic, które przed wybuchem drugiej wojny światowej zwane były Polską środkową.

Twórczość Pola, Polaka w pierwszym pokoleniu, a zarazem jednego z największych apologetów szlacheckich w literaturze dziewiętnastowiecznej, wywoływała nie tylko uwielbienie, ale także polemiki, niekiedy bardzo ostre. Włodzimierz Spasowicz, adwokat mieszkający w Petersburgu, rzecznik reedukacji politycznej narodu, ówczesnie jeden z najwybitniejszych krytyków literackich, podczas prelekcji w Warszawie zaatakował „Wincentego Pola, by na przykładzie bardzo wnikliwie zanalizowanej jego twórczości zademonstrować mesjanizm w karykaturze, kult szlacheckiej przeszłości, odnowiony przez sztukę romantyczną barok sarmacki. [...] Wystąpienie to, z entuzjazmem przyjęte przez młodzież akademicką, miało epilog wręcz haniebny, doprowadziło do pobicia przez studentów osoby, która miała odwagę krytycznie odnieść się do wywodów Spasowicza, a tą osobą był Bolesław Prus”²!

Nostalgiczną legendę kresów utrwalił na dobre Henryk Sienkiewicz w Trylogii. Kudak, Kamieniec, Orsza, Zbaraż, Nieśwież, Żółte Wody, Beresteczko to w polskiej świadomości potocznej nie tylko nazwy geograficzne, lecz – bardziej – znaki czasów, w których kresowi rycerze byli ostoją cywilizacji, Rusini zaś, Tatarzy i inni obcoplemieńcy sprawiali kłopoty, więc trzymano ich żelazną ręką. Dla wspólnego dobra. Ze zmiennym skutkiem.

¹ Jacek Kolbuszewski, *Kresy*, Wrocław 1995, s. 7.

² Julian Krzyżanowski, *Dzieje literatury polskiej od początków do czasów najnowszych*, Warszawa 1970, s. 359.

„Czytam Sienkiewicza. Dręcząca lektura. Mówimy: to dosyć kiepskie, i czytamy dalej. Powiadamy: ależ to taniocza – i nie możemy się oderwać. Wykrzykujemy: nieznośna opera! i czytamy w dalszym ciągu, urzeczeni. [...] Trudno też w dziejach literatury o przykład podobnego oczarowania narodu, bardziej magicznego wpływu na wyobraźnię mas. Sienkiewicz, ten magik, ten uwodziciel, wsadził nam w głowy Kmicica wraz z Wołodyjowskim oraz panem Hetmanem Wielkim i zakorkował je”³. Pol, Sienkiewicz oraz ich kontynuatorzy w literaturze, malarstwie, a nawet historiografii nawiązywali do legendy ziem ukraińskich – kraju pierwotnej przyrody, bohaterskich czynów, nagłej śmierci i szybkich wzbogaceń. Pojęcie kresów wpisało się w tę tradycję.

Według Samuela Bogumiła Lindego⁴, starszego od Wincentego Pola o pokolenie, „ukraina”, rzeczownik pospolity pisany małą literą, to „pogranicze, ugranicze, kraj na granicy”. Przede wszystkim na południowo-wschodniej granicy Rzeczypospolitej („województwo Braclawskie i Kijowskie”), choć Linde podaje przykłady ukraińskich i afrykańskich. Ukraińiec to mieszkaniec kraju, nie syn narodu. Ukraina jest pograniczem, więc przynależy do Korony; jej oderwanie narusza przyrodzony porządek. W *Słowniku języka polskiego* Witolda Doroszewskiego⁵ czytamy, że ukraina to „miejscowość bardzo odległa, daleka od czyjegoś miejsca zamieszkania” albo „kraj nad granicą, kresy”. Oba te znaczenia przechowały się do dziś w gwarach chłopskich, zwłaszcza Polski południowej.

Proces gruntownego przewartościowania – od ukraińskich, czyli wschodniego przedmurza Rzeczypospolitej, do Ukrainy, niepodległego państwa, a właściwie trzech państw za

³ Witold Gombrowicz, *Sienkiewicz*, [w:] *Dzieła*, t. VII: *Dziennik 1953–1956*, Kraków 1986, s. 352.

⁴ *Słownik języka polskiego* przez M. Samuela Bogumiła Linde. Wydanie drugie, poprawne i pomnożone staraniem i nakładem Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich, Lwów 1860, s. 121.

⁵ *Słownik języka polskiego*, Witold Doroszewski (red.), t. 9, Warszawa 1967, s. 529.

wschodnią granicą, z którymi trzeba na nowo ułożyć stosunki, od gospodarczych i politycznych po emocjonalne – wciąż trwa w polskiej świadomości społecznej i czeka na swego dziejopisa. Jak wiele innych tematów, bez których nie sposób zrozumieć współczesnej Polski.

Kultura kresowa uległa zagładzie w ciągu pierwszej połowy XX wieku. Odbyło się to w kilku etapach, nie ma potrzeby ich tu wymieniać. Epilogiem owej zagłady było przepędzenie na zachód milionów Polaków po 1945 roku i metodyczne, a zarazem żywiołowe niszczenie zabytków, zwłaszcza cmentarzy, dworów i kościołów. Temat kresów i w ogóle polskości „za Bugiem” w pierwszym dwudziestoleciu PRL był niecenzuralny, podróżowanie na wschód niemożliwe. Obywatelowi polskiemu było łatwiej (co nie znaczy, że łatwo) wyjechać do Paryża czy Londynu niż do Wilna, Lwowa albo miasteczka swego dzieciństwa.

Kresową traumę podtrzymywano głównie w rodzinach, problem prawie nie wychodził na forum publiczne, choć dotyczył znacznej liczby Polaków. Aby go dostrzec, trzeba było uważnie czytać nekrologi (urodzony..., syn ziemi...). Kresowy zaśpiew w mowie potocznej z naturalnych przyczyn zanikał, choć był niekiedy programowo pielęgnowany przez młodzież. Fotografie i dokumenty z tamtych stron, jeśli się uratowały, drzemały po szufladach. Zdarzało się, że niektórym tak zwanym zabużanom proponowano „rekompensaty”, zupełnie niewspółmierne do utraconego mienia, wywołało to niemało żalów i złej krwi, sprawa wlecze się do dziś i bardzo wątpliwe, by kiedykolwiek została załatwiona. Opowieści związane z dawnym światem powtarzane były jedynie w bliskim kręgu. Czyjaś babcia u schyłku życia zaczynała się pakować, wracajmy do domu, przecież mamy swój dom. Czyjś dziadek wymógł na najbliższych, że go pochowają w rodzinnym grobowcu, przyrzeczono, choć było to życzenie niespełnialne. Na zjeździe familijnym mówiono o katastrofie w Czarnobylu, a seniorka rodu orzekła: Czarnobyl? Wiem, to Chodkiewiczów. Oni za-

wsze byli bałaganiarze... Jakaś pani zrobiła awanturę w urzędzie, nie chciała przyjąć dowodu osobistego z miejscem urodzenia Lwów (ZSRR), argumentując, że gdy przychodziła na świat, Związku Radzieckiego jeszcze nie było. Te rozproszone opowieści można jeszcze zebrać, a przecież bez nich nie ma co marzyć o opisie polskich obyczajów XX wieku, Kitowiczu naszych czasów. Ich dokumentowanie jest równie ważne jak publikowanie katalogów zabytków. Dalekim echem legendy kresowej stała się moda na Bieszczady, udostępnione turystom dopiero w połowie lat pięćdziesiątych.

Raj utracony z samej swej natury nie ma wad, życie w nim to pasmo szczęścia. Wiadomo. W polszczyźnie mówionej lat pięćdziesiątych powiedzonko „jak przed wojną” wyrażało zachwyty, choć przed wojną nie wszystkim i nie zawsze było wspaniale, oględnie rzecz ujmując. Przed kilkoma miesiącami opublikowano raporty oficerów Korpusu Ochrony Pogranicza z lat trzydziestych, pełniących służbę na wschodniej granicy⁶. Obraz tamtych stron, rzeczowo opisany przez ludzi znających teren i myślących kategoriami polskiej racji stanu, jest porażający. Straszliwa nędza, ciemnota, napięcia społeczne, ostre nastroje antypolskie, beznadzieja. Szkoła jednoklasowa z dziurawym dachem i grzybem na ścianach, zresztą bez dzieci, bo rodziców nie stać na zeszyty i buty. Tymczasem w licznych książkach wspomnieniowych na kresach kwitną malwy, słoneczniki, miłość bliźniego i patriotyzm, psy i konie mają piękne imiona, a służąca Paraska skoczyłaby w ogień za państwem. Nietrudno wytłumaczyć ów stereotyp. Polacy z tamtych stron stanowili finansową elitę – ziemianie, inżynierowie, urzędnicy. Ich wspomnienia, bezwiedne autoportrety, z natury rzeczy odbiegały od życia innych warstw społecznych.

Odłóżmy na bok kwestię, jak oceniali II Rzeczpospolitą Ukraińcy, Białorusini i Litwini – obywatele polscy, choć kwestia ta wciąż powraca i także nie doczekała się swej monografii.

⁶ *Kresy w oczach oficerów KOP*, wstęp i opracowanie Jan Widacki, Katowice 2005.

Na początku lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku zaczęły się wyjazdy w rodzinne strony. Opowieści o tych wyprawach przechowały się głównie w kręgu domowym, dopiero po 1989 roku można było poczytać o nich w prasie. Tragizm wspomnień, zastarzałe obawy, idiosynkrazje, nieśmiałość, nieporadność. Absolutny brak płaszczyzny porozumienia, rozpaczliwie kalekie rozmowy. W relacjach powtarza się motyw woreczka z garścią ziemi rodzinnej, milicjant albo celnik grzebał w nim, szukając kosztowności, a gdy nie znalazł, złośliwie ziemię wysypywał, przykleknij, Polaczku, i zbieraj, jeśli ci tak zależy. Ktoś pojechał wyremontować grobowiec, wśród miejscowych gruchnęła wieść, że w trumnach ukryte są skarby, atmosfera gwałtownie zgęstniała. Ktoś inny sarkał, bo musiał zapisać się do TPPR, żeby wyjechać do Wilna tak zwanym pociągiem przyjaźni. Czyjś wujek chciał obejrzeć dom rodzinny, zboczył z wyznaczonej trasy, milicja przestrzeliła mu opony. Ktoś usłyszał: panie hrabio, niechże pan wraca, może pan kupić za bezcen choćby tysiące hektarów, trzeba tylko sprowadzić maszyny i ziarno siewne, no i dobrze zapłacić ludziom, to będą robić. Ponętna propozycja, tyle że pan hrabia, chociaż (jak sam o sobie mawiał) skrojony z porządnego, przedwojennego materiału, był już starym, zmęczonym człowiekiem i sam klepał biedę, a sentymentalna podróż na wschód pozbawiła go niemal wszystkich oszczędności.

Po 1989 roku granice otworzyły się. Daleko im jeszcze do standardów zachodnioeuropejskich, ale postęp jest znaczny. Podróżowanie w ogóle stało się możliwe. Warunkiem odradzającej się normalnej sąsiedzkiej współpracy jest przewyciężenie wzajemnych urazów, a to wymaga przemyślanych działań, zwłaszcza regulacji prawnych, ale przede wszystkim czasu, bazy ekonomicznej i chyba nawet zmiany pokoleniowej.

Stosunek naszych wschodnich sąsiadów do kultury polskiej, która przez stulecia współtworzyła cywilizację kresów i pozostawiła tam niezliczone ślady we wszystkich dziedzinach życia, jest mocno pogmatwany. Przybiera najprzeróżniej-

sze formy, częstokroć wewnętrznie sprzeczne, od negowania oczywistych faktów i manifestowania poczucia zagrożenia aż po przyjacielskie gesty. Można podać wiele przykładów optymistycznych, chociaż nie tylko (najnowsza historia Cmentarza Orłąt we Lwowie, pisownia polskich nazwisk na Litwie, kreowanie Polski na drugiego, po Stanach Zjednoczonych, wroga Białorusi).

Turystyka i ochrona zabytków to dziedziny współpracy o (teoretycznie) najlepszych perspektywach. Ogromny zespół zagadnień – naukowych, finansowych, prawnych, organizacyjnych, ale chyba głównie psychicznych. Dokumentacja pomników architektury kresowej jest niezwykle pożyteczna, ale ich choćby częściowa rewaloryzacja tylko wówczas może ruszyć z martwego punktu, gdy ludzie miejscowi uznają zabytki za swoje dziedzictwo, powód do regionalnej dumy, atrakcję turystyczną, a więc także źródło dochodów. Nie będzie łatwo; od ponad półwiecza wpajano im pogardę do „panskiej Polszy” i jej kultury, paraliżowano wszelkie samodzielne działanie na poziomie lokalnym. Teraz wielu spraw muszą uczyć się od podstaw. Lecz innej drogi chyba nie ma. Na szczęście.

Kresy wciąż zajmują w polskich sercach i umysłach tyle miejsca, że na dobrą sprawę każdy gimnazjalista czy student powinien wybrać się w tamte strony. Znajomość Kresów, choćby pobieżna, jest niezbędnym warunkiem wykształcenia polskiego inteligenta, zwłaszcza humanisty. Jak wiadomo, turystyka to najbardziej dochodowa, a zarazem ekologiczna i kulturotwórcza gałąź gospodarki. Nasze zakorzenienie psychiczne na Kresach może działać więcej niż kosztowna kampania promocyjna. Polska to kraj równinny, góry zajmują minimalny procent powierzchni kraju, tuż za miedzą rozpościerają się Gorgany i Czarnohora, znane tylko wytrawnym polskim turystom. Czekają pensjonaty w Jaremczu i Worochcie, nie gorsze od podhalańskich i sądeckich, za to znacznie tańsze. Czekają uzdrowiska: Truskawiec, Druskienniki, Połąga i wiele innych.

Nasuwa się tu dość wyraźna analogia: gwałtowny rozwój niemieckiej turystyki sentymentalnej i uzdrowiskowej na Dolnym Śląsku, Pomorzu i Mazurach. Jeszcze dwadzieścia lat temu rzecz nie do pomyślenia. We wrocławskich, gdańskich, olsztyńskich księgarniach można zobaczyć okładki z nazwami Breslau, Danzig, plany z niemieckimi nazwami ulic, albumy przedwojennych fotografii i pocztówek. Polska racja stanu na tym nie ucierpiała. Berlińczycy masowo przyjeżdżają na kurację do Kołobrzegu, obie strony są zadowolone.

Przykład jeszcze z innych stron. Muzeum w Starej Lubowli (Lubovni) rezyduje w zamku, który przez trzy i pół stulecia był siedzibą starostwa spiskiego. Wpływy kultury polskiej widoczne są tu na każdym kroku, miejscowi nie mają zamiaru ich kwestionować. Wśród zwiedzających najliczniejszą grupę stanowią Polacy, więc muzeum wyciągnęło z tego praktyczne wnioski: wydaje publikacje krajoznawcze po polsku, promuje się na polskich targach turystycznych, współpracuje z muzeami polskimi o podobnym profilu. Naturalnie, niektórzy turyści na widok orła jagiellońskiego albo herbu Lubomirskich wołają: to przecież nasze! Ale kończy się na żartach.